

Nazywam się Alina maria konieczna z domu Zuk , urodziłam się 25 stycznia 1930 roku w kurzencu. Do 1939 roku mieszkalam w Smorgoniach razem z rodzicami i rodzeństwem.

Najbardziej utkwiło mi w pamięci wejście Sowietów do naszego miasteczka , było to straszne ponieważ weszli jak naród dziki , zaczęło się wykupowanie ze sklepów , szkoły były opóźnione. Ojca we wrześniu zmobilizowano do wojska. Pamiętam pierwszy dzień w szkole poszłam wtedy do trzeciej klasy , klasa była pełna dzieci , nauczyciel prawie płacząc oznajmił nam , że od dzisiaj w szkole nie będzie modlitwy, natomiast będziemy się uczyć języka białoruskiego. Na stole leżały już białoruskie książki , już przedtem oni je przygotowali , pod tytułem " Białoruskaja mowa.". Dla nas dzieci było to smieszne i straszne , bo tego języka trzeba się było uczyć. Smieszne bo to była prawdziwa wojna , wracając ze szkoły mówiliśmy żołnierzom zdrastwujciecie.

Ojca aresztowano w grudniu 1939 roku za to że był w policji. Zaraz po aresztowaniu tatusia wyrzucono nas z domu , mieliśmy duży dom , dano nam dwie godziny na opuszczenie domu. Dokąd pójdziemy absolutnie ich to nie interesowało , całe szczęście , że ojca brał miał użyć dom i dał nam pokój z kuchenką na górze. Mama wzięła tam trochę pościeli i podstawowe sprzęty , żebyśmy mogli tam mieszkać. Część mebli zabrała nasza służąca , część wstawiono na strych, tam mieszkaliśmy od stycznia do chwili wyjazdu. Ponieważ było tam ciasno spać , to ja i młodsza siostra spałyśmy na dole u wujka w pokoju.

Około czwartej nad ranem dał się słyszeć hałas , stukanie do drzwi i zaspany głos wujka . Rosyjski żołnierz stwierdził , że przyszedł zabrac na górę do Zukowej dwie kobiety , bo według spisu ich brakuje .wujek otworzył drzwi i te dwie kobiety to byłam ja , dziesięcioletnia dziewczynka i moja czteroletnia siostra, która się do mnie przytuliła bo żołnierz był ubrany w mundur i miał karabin.

Żołnierz zaprowadził nas na górę do pokoju gdzie była mama z siostrą i bratem. W domu zastałam straszny rozgardiasz, mama pakowała rzeczy, Rosjanin wrywał z ręki, było tam jeszcze dwóch żołnierzy. Dali 20 minut kazali brać co najpotrzebniejsze bo jedziecie do ojca. Mama zapakowała co mogła: pościel, trochę ubrania, nie zdążyliśmy zjeść trzeba było siadać na furę, zawieziono nas na dworzec do wagonów. Wagony były towarowe, do wagonu ładowano nas trzydzieści i więcej rodzin, w zależności od długości wagonu. Z przodu i tyłu wagonu, na takim balkoniku stał rosyjski żołnierz z karabinem. Kiedy nas załadowano pociąg wieczorem ruszył, to był bardzo długi ciąg wagonów, otwierano wagony co jakiś czas abyśmy się mogli załatwić. Nie pamiętam kiedy przejechaliśmy granicę, bo co jakiś czas doczepiano wagony na stacjach, prawdopodobnie w dwa czy trzy dni. Jechaliśmy długo, ponad dwa tygodnie. W podróży dostawaliśmy gorącą wodę - kipiatak, każdy z nas miał zapasy. Mama miała worek sucharów. Jak zatrzymywaliśmy się to trzeba było zdażyć po wodę i załatwić się, po wodę biegał brat. Woda była z lokomotyw. W wagonach były porobione piętrowe prycze, nam przypadła w udział najwyższa prycza. Eszelon był bardzo długi, ciągnęły go trzy lokomotywy, jedna z przodu i dwie pchały z tyłu.

W miarę jak pociąg oddalał się od Europy zaczęły się choroby chorowały dzieci, nie wytrzymywały osoby starsze. Najboleśniejszy był moment kiedy wynoszono z pociągu zmarłe dzieci zawinięte w prześcieradło, kładzino je na pobocze. Nie pozwolono ich chować. Kiedy raz przejeżdżaliśmy przez miasto, znalazła się lekarka, w naszym wagonie chorowała trójka dzieci, była to Azjatka. Ona zobaczyła nasz termometr i mówi "jak to mnie wzywacie przecież macie termometr". W wagonie powstał komitet, kobiety które znały rosyjski i były odważniejsze musiały stanąć w obronie tej społeczności wagonowej. Na niektórych stacjach dawano nam jaglaną kaszę, która była nie do przełknięcia, dawano wiadro kaszy na

wagon, przeważnie każdy jadł suchary.

Kiedy przyjechaliśmy na Kazachstan był początek maja, był śnieg, było zimno. Wyszadzono nas w Kokczetau, czekały tam na nas ciężarówki. Zaczęto nas zaraz ładować na ciężarówki, na jedną wchodziło dwanaście i więcej rodzin, zależnie od liczby osób. Wieziono nas do kołchozu, nasz kołchoz Siewiernyj Majak był oddalony od Kokczetau około dwunastu kilometrów. Przyjechaliśmy późnym wieczorem, na ulicy zebrała się cała społeczność kołchozu. Wszyscy byli ciekawi polskich przestępców którzy przyjechali tu za karę. Zwieziono nas do remizy i prezydent zwrócił się do mieszkańców aby zabierali do siebie rodziny, w zależności od wolnego miejsca. Domy budowane były z gliny, ze słomy o powierzchni 15 lub 20 metrów. Myśmy się dostali do rodziny mieszanej rosyjsko - ukraińskiej. On Ukrainiec Adam Sosnowy, ona Rosjanka Paraska, mieli jednego syna. Przyjęli nas bardzo serdecznie, z żalem bo oni już przeżyli kilka lat.

Udzielili nam kawałek podłogi, aby można się było rozłożyć. My wyglądaliśmy jak bogacze, bo jeszcze nie byliśmy obdarci, mieliśmy ubrania na sobie jako takie, mieliśmy poduszki. Dopiero potem zaczęły się gehenny bo Polaków do pracy nie przyjmowano. Musieliśmy zjeść to co mamy i musieliśmy wysprzedać co mamy, aby kupić sobie za to pszenicy czy ziemniaków.

Mama z siostrą i bratem dostała się do kopania rowów melioracyjnych, bo była wczesną wiosną. Ja z młodszą siostrą opiekowałam się u sąsiadki dzieckiem rocznym czy dwuletnim, musiałam go nosić, ze sobą wszędzie bo za całodzienną pracę dostawałam ćwiartkę mleka. Po kilku miesiącach przeniosłyśmy się całą rodziną do innych ludzi, też Sosnowych, Ukraińców. On nazywał się Adam ona Anna i mieli syna Franciszka. Później pozwolono pracować, mama pracowała za co dostawała albo ziemniaki albo mąkę.

Dostawała kilo ziemniaków lub pół kilo mąki za dzień. Ponieważ lato było krótkie a nie chcieliśmy spędzić zimy na ziemi, mama jako odważna kobieta postanowiła zbudować dom. Kopałyśmy glinę do gliny dodawało się słomę, wlewa się słomę wodę i każdy depta. Potem robi się formę w kształcie prostokąta o długości około 75 centymetrów i szerokości 40 centymetrów. W tej formie układa się cegły i to się nazywa saman. Ludzie pomagali w robieniu cegieł, bo mama mając czwórkę dzieci zaliczała się do rodzin dużych. Miejscowi po wysuszeniu cegieł pomogli postawić dom, stanął on w ciągu paru dni. Kiedy nadeszła zima śnieg zasypał wejście i tylko sąsiedzi wiedzieli, że tu stał dom i należy go odkopać. Po wybudowaniu domu mieszkaliśmy tam do końca 1941 roku.

W 1942 roku pozwolono Polakom wybrać miejsce zesłania, mama z kilkoma rodzinami przenieśli się do najbliższego miasta do Kokczetau. Zatrudniła się tam na cegielni, około ośmiu kilometrów za miastem i tam mieszkaliśmy do końca. Pracowała mama jako wypalacz cegieł, pracowała siostra i brat.

W 1942 roku w październiku brat dostał się do armii Andersa. Miał wtedy 15 czy 16 lat, mama rozpaczała bo był to jedyny syn. Dzięki temu brat miał możliwości kształcenia się, był w Anglii, wrócił do Polski w 1947 roku już po maturze. Miał przez to masę kłopotów, przez dwa lata nie mógł się dostać na studia, dlatego że wrócił później.

Kiedy ojca aresztowano w grudniu mieliśmy od niego jedyną wiadomość z Kozielska, że jest tam, że żyje i brakuje mu chusteczek do nosa bo często mu krew z nosa leci.

W 1943 roku siostra została powołana do wojska jako 17 letnia dziewczyna, do Platerówek. W rezultacie od 1943 roku zostałyśmy: mama, ja i młodsza siostra. Najmłodsza chodziła do przedszkola a ja pracowałam, bo byłam już półpanna. Chodziłam do ogrodu pracować kopałam ziemniaki, musiałam pomóc zdobyć żywność.

W 1945 roku została utworzona szkoła polska , to była klasa w rosyjskiej szkole przeznaczona dla dzieci polskich , tam były dzieci od 10 do 17 lat. Zbieraliśmy się żeby porozmawiać po polsku, poczytać książkę, żeby podpisać się porządnie po polsku. Ja uczyłam się bardzo krótko. My pisałyśmy na zeszytach robionych z gazety.

Kiedy w 1945 roku zakończyła się wojna to wyobrażaliśmy sobie że my już wrócimy do kraju, widziałam już siebie w tym domu z którego zostałam wywieziona. Wywieziono nas prawie w rok od zakończenia wojny , bo nasze losy się ciągle ważyły , dużo osób tego nie doczekało , bo była bardzo duża umieralność. Nie wytrzymały dzieci i osoby chore , umierały z głodu i chorób , bo tam nikt nikogo nie leczył. w 1944 roku mama została bardzo boleśnie ugodzona przez krowę pasącą się w stepie , która mamę napadła i połamała jej wszystkie żebra. Mama w ciężkim stanie została odwieziona do szpitala.

Szpital miał zestawione łóżka i chorzy na nich siedzieli. Mama była w tak ciężkim stanie że musiano ją położyć. Leczenie polegało na tym , że leżała zabandażowana , nie wiem czy dostawała coś przeciwbólowego. Jedzenie nosiłam ja , coś tam dostawali do jedzenia raz dziennie. Nie tylko Polacy chorowali z głodu , najgorzej mieli Czeccy i Ingusze , byli oni z południa , nie przyzwyczajeni do klimatu , umierali dziennie po pięćdziesiąt osób.

Kiedy w marcu 1946 roku podstawiono znowu towarowe wagony które miały nas zawieźć do Polski radość była ogromna. Mama za zarobione pieniądze zaczęła kupować chleb , czarny jak cegła i suszyć na podróz.

Kiedy przeniosłyśmy się do miasta warunki się troszkę poprawiły , bo zaczęto mamie płacić , a za pracę szkodliwą dla zdrowia dostawała cwiartkę mleka. Gotowało się zacierkę na wodzie , zalewało mlekiem i nazywało się to zacierką z mlekiem. Sam fakt pobytu w miasteczku był ważny , bo kołchoz to jest jedna uliczka wytyczona

wśród ogromnych stepów. Za jakieś pięć , sześć kilometrów następny kołchoz. w większym miasteczku było łatwiej, materialnie to człowiek^k się pozbywał wszystkiego. Mysmy jak wracały to mama miała sukienkę uszytą z niebieskiego twardego materiału , ja i Hania też. Był on specjalnie kupiony żebyśmy nie jechały w łachmanach. Jedyne co mama uchroniła to cztery poduszki , które były naszym j największym bogactwem.

Jak wróciłyśmy do kraju to siostra pomogła , mama zaczęła pracować, jako urzędniczka. Dostałyśmy od PUR-u , opieki społecznej zezwolenie na kupno podstawowych rzeczy takich jak łóżko , stół , kredens. Potem się dorabialiśmy , poszliśmy do szkoły , jedna i druga siostra skończyły studia , brat również.

Będąc na zesłaniu korespondowałyśmy ze stryjcem który został w Smorgoniach , ale listy szły bardzo długo o czasami pół roku. Raz dostałyśmy od wujka suszone ziemniaki , które już nie nadawały się do spożycia , bo jechały rok czasu. Potem korespondowała z nami siostra i brat , paczek nie dostawałyśmy kiedyś tylko siostra przysłała nam 50 czy 70 rubli. Za te pieniądze mama mogła kupić trochę baraniego mięsa , żeby zrobić dobry obiad bo skończyłam 15 lat. Były tradycja , że kiedy dziewczynka kończy 15 lat to wchodzi w dorosłe życie.

Wyżywienie było bardzo proste , podstawą były ziemniaki , otręby , mąkę ja z siostrą mieliłam na żarnach. Jedliśmy dziką cebulę , dziki czosnek , szczaw . Moja mama z cegieł^{mi} dostała działkę może 15 metrów powierzchni, ale posadziliśmy sobie ziemniaki , były one małe , nieudane, bo nie było nawozu , ziemia była bardzo słaba. Jedliśmy różne placki pieczone bezpośrednio na płycie , można było ugotować ziemniaków , pierogi zrobić nadziewane ziemniakami. Mama przynosiła makuchy , po wyciśnięciu oleju zostawały resztki , my z Hanką to ssałyśmy bo były słodkie i smaczne.

W lecie łatwiej się było wyżywić , bo rosły rośliny jadalne. W stołówce zakładowej były zupy z zielonych pomidorów i z jaglaną kaszą. Mama dostawała na siebie jedną porcję , na mnie i na siostrę po połowie. Mogłyśmy codziennie dostać dwa talerze zupy. Kasza jaglana była z dodatkiem oliwy , ja chcąc urozmaicić kuchnię domową , prosiłam kucharkę żeby oliwę dawała mnie do kieliszka. Po miesiącu zebrałam pół szklanki oleju , wtedy były placki ziemniaczane , które po usmażeniu smarowało się olejem. wszystkie kobiety były bardzo zgrabne i szczupłe bo nie stać je było żeby utyc.

Mama chorowała na szkorbut , straciła zęby. My jadłyśmy cebulę i czosnek i uchowałyśmy zęby. Moja serdeczna koleżanka Danusia Raubo , umarła w 1944 na gruźlicę, zapalenie serca. Umierały dzieci.

Temperatura nieraz dochodziła do 40 stopni i wówczas dzieci do szkoły nie chodziły. Było podawane ogłoszenie przez toczkę , że temperatura będzie niska i nie trzeba iść do szkoły. Nękały nas burany, burze śnieżne. Szłam z mamą , trzymałam ją za rękę ale jej nie widziałam. W burzach śnieżnych nieraz ginęli ludzie. Życie płynęło z dnia na dzień , Polacy nie mogli się specjalnie zbierać , bo byliby podejrzani o konszachty a może o rozwalenie ZSRR. Jak było majowe to kobiety się zbierały po trzy do cztery i śpiewały. My jako młode dziewczyny uczestniczyłyśmy w tym. Trzeba było uważać , bo za jedno słowo można było trafić do więzienia.

My Polacy obchodziliśmy po cichu swoje święta , oni uznawali 1 maja , Rewolucję Październikową. Przed tymi świętami dostawaliśmy przydział na przykład na pół kilograma cukierków. Mama dała nam po parę a resztę sprzedała na chleb.

Kirgizi byli w lepszej sytuacji bo mogli sprzedać baraninę. Oni się z nami nie kumali , trudno się było z nimi dogadać , bo słabo znali rosyjski , dobrze znali tylko ci którzy skończyli szkoły

Nasz dom był nazywany Żukowka , dom był mniejszy od pokoju. Centralnym miejscem był piec , na nim było spanie dla całej rodziny.

Pod piecem urzędowały krowy kury , jak się wieśniakowi zimą krowa ocielila to do domu zabierano cielaka. Okna były małe 60 na 60 centymetrów , ściany grube , miały tyle ile semen miał czyli 75 cm. Do opalania nosiliśmy chrust z lasu , latem suszyliśmy nawóz krowi tak zwany kiziak , składaliśmy w stożek i to był podstawowy opał.

Niektóre kobiety powychodziły z zamąż , automatycznie wtedy przechodziły na ich obywatelstwo i musiały zostać. Mojej koleżanki matka wyszła za tubylca i koleżanka też musiała tam zostać , to była ogromna rozpacz.

Po przyjeździe zatrzymałyśmy się na dwa tygodnie w Warszawie a potem pojechaliśmy do Bytowa , bo wujek ze Smorgon wyemigrował na ziemie zachodnie. Siostra była w Warszawie , dopiero w 1945 została zdemobilizowana , zabrała nas do siebie w 1949 roku , kiedy dostała większe mieszkanie. Rodzina naszą była niewielka , mama była warszawianką. Rodzina mamy czyli Wygonowscy została w Rosji, mama przeniosła się do Polski w 1920 roku jako mężatka.

Kiedy składałam podanie do liceum , napisałam w życiorysie , że byłam wywiezina na syberię. Na to wezwała mnie dyrektorka , kazała zmienić życiorys , napisać , że znalazłam się w Związku Radzieckim.

Do Polski wracaliśmy już nie strzeżeni, mogliśmy otworzyć drzwi , nie dawano nam żadnej żywności , każdy musiał się wcześniej zaopatrzyć. Po drodze widzieliśmy straszną nędzę , dzieci przychodzą do wagonu śpiewały i prosiły o chleb. Nędza była dzielona po równo. My mieliśmy jednak przed sobą perspektywy , oni nie. Nasz ojciec nie wrócił , nie odkopano jednak policjantów , nie mamy oficjalnego potwierdzenia.

mama była osobą stanowczą i uważała , że musimy się uczyć po polsku. Miałymy tylko jedną książkę " Tysiąc bajek " Brzechwy. Myśmy czytały codziennie po jednej stronie , zabraniała nam wtrącania słów rosyjskich. Pisałyśmy listy które nie zostały wysłane.

Pisałam listy do ojca , mama to wszystko składała, później to wszystko zginęło. Chodziło o to abyśmy nie ~~mó u~~ musiały się wsty-
dzie po powrocie do Polski. Ja poszłam do szóstej klasy , bo
nauczyciele byli łaskawi dla takich jak ja. skończyłam liceum ,
bardzo szybko wyszłam zamaż w wieku dwudziestu lat.

wywiad przeprowadzono: 24.04.1992. Białystok

Roemowę nagrota i qnepicoto

Roewonisko Joama